

Rozdział 6: Przyjaciele – rodzina XXI wieku. Rozmowa z prof. Katarzyną Popiołek

Czy można powiedzieć, że nasi bliscy przyjaciele to nasza rodzina z wyboru? W końcu przyjaźń opiera się na czymś bardziej wyrafinowanym niż wspólnota genów.

- Brzmi to mocno, ale jest prawdziwe. Tym bardziej, że w tej chwili rodzina właściwie przestała spełniać swoje podstawowe funkcje.

Jak to?

- Przez wieki dawała ekonomiczne wsparcie tym, którzy do niej należeli. Była gwarancją bezpieczeństwa dla wszystkich swoich członków, szczególnie młodych, na dorobku. Dziś teoretycznie także zaspokaja ich potrzeby materialne, ale młodzi coraz rzadziej chcą i mogą na tym polegać.

Druga ważna funkcja rodziny to ta socjalizacyjna. Według dawnego modelu rodzice przygotowywali dzieci do dorosłego życia. Współcześnie nie mają na to ani czasu, ani ochoty, czy – co gorsza – pomysłu. Brakuje punktów styecznych między pokoleniami, rodzice nie rozumieją realiów, w których dorastają ich dzieci.

No i wreszcie funkcja opiekuńcza, bez wątpienia tradycyjnie przypisana rodzinie. Ona także słabnie w kontaktach między rodzicami i dziećmi, czy też między rodzeństwem. Skoro nie jesteśmy blisko z członkami rodziny, to ani nie prosimy ich o pomoc, ani zbyt chętnie im tej pomocy nie udzielamy. W ciężkich chwilach wolimy zgłosić się do przyjaciół, którzy rozumieją nasz styl życia i podejmowane przez nas wybory.

Chodzi o to, że rodzinne związki między członkami rodziny osłabły, tak? Czy to efekt neoliberalnego podejścia: umiesz liczyć, licz na siebie?

- Pamiętajmy, że rodzina generacyjna, w której wzrastamy, jest bardzo ważna dla naszego dalszego rozwoju. Jeśli jest funkcjonalna, przekazuje nam normy i wartości pozwalające wytworzyć zdrowe postawy wobec siebie i świata. Ma nas poprowadzić od zależności do autonomii. W rodzinie występuje jednak pewien podstawowy konflikt – młodzi chcą się z niej wydostać, poszerzać swoją przestrzeń życiową, do czego niezbędni im są rówieśnicy, rodzice zaś starają się dzieci zatrzymać wewnątrz, by ustrzec je przed niebezpieczeństwami. Pępowina musi w pewnym momencie zostać zerwana.

W zdrowych rodzinach ten pęd ku niezależności jest aprobowany i szanowany. Rodzice akceptują to, że młody człowiek wybiera własną drogę. Przekazują mu wiarę, że jest wystarczająco silny i bezpieczny, równocześnie zapewniają go, że może na nich liczyć w każdych okolicznościach. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Są rodziny, które ograniczają dziecko na różne sposoby („nie myśl o sobie, zawsze myśl o rodzinie”, „rodzice z definicji mają rację”, „bez nas nie dasz rady”) lub odrzucają je („tak się nie robi”, „wpędzisz nas do grobu”, „w kogo ty się wdałeś”). Taka rodzina przestaje być oparciem, a staje się kulą u nogi.

Wchodząc w dorosłe życie rozumiemy, że rodzina to nasze korzenie, ale równocześnie widzimy, że nasz świat różni się od tego, w jakim funkcjonowali nasi rodzice. Relacje z rówieśnikami pozwalają nam lepiej orientować się w rzeczywistości, tworzyć grupy sojuszników do wspólnego działania, zaspokajającego ważne potrzeby indywidualne i społeczne.

Rodzina więc, nawet ta dobra, nie rozumie w wystarczający sposób naszych potrzeb?

- Klan rodzinny wyrasta przez długi czas, ma pewne wspólne doświadczenia, zwyczaje, a także pewne zasady, których trzeba przestrzegać. Jeśli je złamiemy, rodzina może wycofać nam swoje wsparcie. Nie jest ono bezwarunkowe. Bolesnie przekonują się o tym chociażby młode dziewczęta, które zachodzą w ciążę – nierzadko ich własna rodzina odwraca się od nich, wyrzuca je poza margines jako osoby niemoralne, niegodne opieki.

To skrajny przykład, ale zmierzam do tego, że prośenie o wsparcie kogoś z rodziny wymaga od nas każdorazowo przyjęcia reguł, które taką rodziną rządzą. A stoją one często w sprzeczności z tym, w co sami wierzymy. Nic dziwnego, że nie chcemy się naginać do sposobu rozumowania rodziców czy dziadków, przeważnie konserwatywnego.

Jest jeszcze funkcja rekreacyjna, na tym polu rodzina przegrywa na całego. Wolimy odpoczywać z przyjaciółmi, bo są w podobnym wieku, mają analogiczny gust, a metody relaksowania się preferowane przez starszych nam nie odpowiadają, według nas są *passé*.

Pewnie. Przy przyjaciółach jesteśmy bardziej sobą. Łatwiej nam jest zachowywać się naturalnie w ich obecności, niż w obecności bliższych i dalszych krewnych.

- Przyjaciele dzielą życie na podobne epizody, co my, potykają się o te same problemy, wyznają bliskie nam wartości. Rodzinie wszystko trzeba tłumaczyć: dlaczego się nie pobieramy, dlaczego nie chcemy mieć dziecka, dlaczego nie pracujemy stale w tym samym miejscu. Przyjaciółom już nie, oni nadają na tych samym falach.

No i dają nam poczucie przynależności – może bardziej niż wspólnota religijna czy narodowa. W krajach Zachodu, mocno zlaicyzowanych, ludzie często czują się wykorzeni. Grupa przyjaciół może stać się dla nich enklawą, bezpieczną niszą.

- Jeśli zerkniemy na piramidę Masłowa, przekonamy się, że jedną z podstawowych potrzeb człowieka jest potrzeba przynależności. Przyjacielska grupa świetnie ją zaspokaja. W jej obrębie bardzo często mamy wspólne cele, które chcemy realizować. Wspieramy się w tym, skutecznie motywujemy. Grupa przyjaciół jest dla nas naturalnym punktem odniesienia.

Przyjaźń rozwija się na dwóch istotnych dla człowieka płaszczyznach: emocjonalnej i zadaniowej. Z przyjaciółmi dajemy sobie ciepło, ale też możemy wspomagać się w realizacji ważnych dla siebie celów, doradzać sobie w kwestiach zawodowych. To nasza baza – do wspólnego spędzania czasu, do wyrażania emocji, do walki z zewnętrznymi przeciwnościami. Z przyjaciółmi na bieżąco informujemy się wzajemnie o swoim samopoczuciu. Dyskutujemy o świecie, w trakcie rozmów wyrabiamy sobie poglądy.

Towarzyszy temu lekkość. W grupie mamy mniej zobowiązań niż w najbliższych związkach, tych małżeńskich czy partnerskich. Jesteśmy bardziej wolni, sami możemy określać poziom swojego zaangażowania. I zmieniać go, zależnie od okoliczności.

Jesteśmy lepszą wersją siebie? Rodzina widzi nas w różnych sytuacjach, zna nas też od tej nieciekawej strony, a przyjaciółom staramy się pokazać to, co w nas najlepsze?

- Nie zawsze, bardzo często zwracamy się do nich w chwilach słabości. Następuje jednak rozłożenie ciężaru, który chcemy z siebie zrzucić.

W każdej grupie przyjacielskiej prędzej czy później dochodzi do podziału ról. Należące do niej osoby pełnią różne funkcje: jedna potrafi słuchać, druga jest nastawiona zadaniowo, od razu szuka rozwiązania problemu, a trzecia rozwesela innych. Dzięki tej specjalizacji grupa daje wielopłaszczyznowe wsparcie. Jeden człowiek w tylu dziedzinach nie mógłby działać skutecznie.

W bliskich związkach relacje szybko się utwardzają – jeśli partnerzy wypracują sobie konkretny sposób funkcjonowania, bardzo trudno będzie im to później zmienić. W przyjacielskim gronie jest łatwiej: raz wywieramy na kogoś wpływ, a innym razem pozwalamy, żeby to on nami kierował. Raz będziemy zadowoleni, gdy ktoś będzie od nas wiele wymagał, a w innej sytuacji będziemy doceniać, że ta sama osoba jest dla nas wyrozumiała. Bywa przecież, że nasze potrzeby są sprzeczne i nawet dla nas niejasne. Wśród przyjaciół nie musimy się o to martwić. Możemy się realizować na milion sposobów.

A co to właściwie znaczy? Badaczka trendów Lidewij Edelkoort kilka lat temu przewidywała, że w obliczu postępującego kryzysu ekonomicznego będziemy się zbijać w małe, jak to nazwała, miejskie plemiona, które będą sobie gwarantować przetrwanie. Czy pani obserwuje takie zjawisko?

- Tak, zresztą to ma związek nie tylko z kryzysem ekonomicznym, ale też z przemianami obyczajowymi, zachodzącymi w zachodnich społeczeństwach. Ich znakiem rozpoznawczym jest rosnąca liczba singli, ludzi, którzy żyją sami. Wiemy skądinąd – o tym mówili wszyscy filozofowie – że samotność jest nie do zniesienia. Ludzkie życie jest rozpięte między samotnością a więzią. W pewnych sprawach musimy być samotni, bo bólu nikt za nas nie przeżyje, ani miłości, ani choroby, ale nie możemy żyć bez innych, ponieważ więź jest nam absolutnie potrzebna. Wzrastamy w kontakcie z innymi, dopiero w zetknięciu z drugą osobą dowiadujemy się, kim jesteśmy. Stajemy się sobą. Fakt, że jest tylu singli od razu wskazuje na to, że ludzie będą poszukiwać więzi z innymi. Bez tego nie da się żyć.

Tylko co było najpierw: wzrost liczby singli czy wzrost znaczenia przyjacielskich związków? Co jest tutaj przyczyną, a co efektem?

- Myślę, że u źródeł leży kryzys rodziny. I kryzys małżeństwa, bo z małżeństwem wiąże się bardzo dużo ograniczeń, które nie przystają do współczesnych czasów. Model małżeństwa ciągle pozostaje w tyle za zachodzącymi zmianami społeczno-kulturowymi, trudno zmieniać utrwalone przez wieki reguły.

Plemiona bardziej pasują do naszej rzeczywistości, płynnej, pozwalającej na odwlekanie wielu wyborów. Rodziny nie lubią, gdy coś odwlekamy w naszym życiu. Tyle że to odwlekanie, to nie jest żadne lenistwo, ale – jak to określił Zygmunt Bauman – aktywna postawa przejęcia kontroli nad kolejnością zdarzeń. Wynika ona z niechęci wobec kolejności narzuconej nam odgórnie przez system: teraz czas na pracę, a teraz na zabawę.

Czyli za tym wszystkim stoi nasz indywidualizm?

- Bez wątplenia. Zajmij się swoim sukcesem, pracuj na własny sukces, nikt cię nie zastąpi w twoich działaniach, wszystkiego powinieneś szukać w sobie – na tym to się opiera.

W dodatku globalizacja odrzuca to, co jest niezgodne z normą, w myśl której człowiek powinien być idealny, i jego związki też. Szukanie partnera doskonałego, który będzie spełniał wszystkie nasze oczekiwania, jest karkołomne, żeby nie powiedzieć – głupie. Ale media nas utwierdzają w tym, że tacy ludzie istnieją. Możliwe są wszystkie style życia, więc sami nie wiemy, który wybrać. Ta ciągła tyrania wyboru – muszę wybierać, potem zastanawiam się, czy mogłam wybrać lepiej – powoduje, że zaczynamy się czuć zagubieni. I to nas skłania do singielstwa. Podkreślam singielstwa, nie singlizmu, bo singlizm brzmi jak seksizm, w tym określeniu czuć potępienie.

Dla singli przyjaciele są ważniejsi niż dla osób pozostających w związkach?

- Z pewnością przyjaciele stanowią dla singli ochronę przed samotnością. Osoby żyjące w pojedynkę prezentują więc silną tendencję do uruchamiania przyjaznych relacji interpersonalnych, ale z różnych względów poziom nawiązywanych przez nie kontaktów jest nieco niższy w porównaniu z grupami innych dorosłych.

Niezależnie jednak, czy jesteśmy singlami, czy też nie, w naszym podejściu do przyjaźni można wyróżnić konkretne fazy. Najpierw, gdy jesteśmy w okresie adolescencji, szukamy towarzystwa. Rówieśnicy są dla nas ważni. Potem kładziemy nacisk na własny rozwój, indywidualizujemy się. W apogeum kariery nie mamy czasu dla przyjaciół. Cena, którą płacimy za pogoń za doskonałością jest wysoka – zostajemy z własnym ja, stajemy się samotni. I wtedy kierujemy się gwałtownie ku innym, chcemy wrócić do czasów wczesnej młodości, kiedy mieliśmy paczkę przyjaciół, kiedy czuliśmy się blisko z innymi ludźmi.

Mam wrażenie, że traktowanie przyjaźni jako polisy na starość jest iluzją. Wydaje nam się, że możemy liczyć na przyjaciół w każdych okolicznościach. A może jednak to więzi rodzinne, nawet jeśli nie zawsze wygodne, są pewniejsze?

- Rodzice będą zawsze opiekowali się swoim dzieckiem, przynajmniej w teorii, ale rodzice kiedyś umrą, więc spokojnej starości raczej mu nie zapewnią. To brutalna prawda, ale trzeba się z nią skonfrontować.

Druga, nie mniej niepokojąca obserwacja dotyczy małżeństw. Przyglądając się temu, jak wiele związków małżeńskich wokół nas się rozpada, nie powinniśmy żyć złudzeniami, że posiadanie męża lub żony zapewni nam bezpieczeństwo na zawsze, da nam gwarancję, że na starość ktoś się nami będzie opiekował.

Paradoksalnie, to wszystko wina... miłości.

Jak to? Chyba egoizmu, nieumiejętności kochania?

- Nie, wcale się nie przejęzyczyłam. To kwestia miłości, uczciwości, szczerości uczuć. Czyli fundamentów, na których opiera się współczesne małżeństwo. Kiedyś związki się aranżowało. Klasyczne małżeństwo zakładało hipokryzję, w której małżonkowie trwali – trochę się oszukując, a trochę zdradzając, ale zachowując grę pozorów. Z szacunku do instytucji małżeństwa, ze względu na społeczną opresję, z lęku o przyszłość rodziny bardzo rzadko decydowali się na wyjście z powierzonych im ról. Aż do swojej śmierci. A dziś? Dzisiaj związek to wynik namiętności, która po jakimś czasie zanika. Wiadomo, miłość jest kapryśna. Ciężko w oparciu o nią projektować coś na lata. Trzeba więc w związku budować intymną więź opartą głównie na przyjaźni, wzajemnej życzliwości i zrozumieniu.

Tymczasem jeśli związek się psuje, zamiast nad nim pracować, sięgamy po nowszy model, kolejnego partnera. Bo tak jest nam wygodniej. Usprawiedliwiamy się: „Skoro poprzedni związek przestał działać, to po co mam się w nim męczyć? To fałsz, powinienem podążać za nową miłością”. To naprawdę jest pewien kłopot.

Ale czy w przyjaźniach nie jest podobnie? Przecież jeżeli ktoś ma instrumentalne podejście do związków miłosnych, jeśli skupia się w nich głównie na własnej przyjemności, to pewnie podobnie ma z przyjaciółmi.

- Oczywiście bywają ludzie niezdolni do przyjaźni i makiawelicznie wykorzystujący innych; oni też będą zmieniać przyjaciół jak rękawiczki. Jednak dobieranie się przyjaciół i wymagania wobec nich są najczęściej oparte nie tylko na emocjonalnych, ale także na racjonalnych przesłankach. Podchodzimy do tej relacji dosyć trzeźwo.

W małżeństwie jest więcej rozczarowań, bo wiążemy z nim wiele oczekiwań nie zawsze możliwych do spełnienia. Ulegamy też wielu złudzeniom co do jego przebiegu, nie zdając sobie sprawy z trudności, które trzeba będzie pokonać. Uważamy, że miłość jest gwarancją nieustającego szczęścia. Nie wiemy, że czekają nas różne fazy rozwoju związku, do których będziemy musieli jakoś się przystosować.

O tym, że dobieramy się w pary decyduje wiele czynników, w tym także biologia, jej tajemnice. A wspaniałe biologiczne dopasowanie nie gwarantuje wcale udanego pożycia. Co więcej dobieramy się często w stanie kompletnego wzajemnego zauroczenia, które nie pozwala nam dostrzec wielu realiów. Oczywiście w miarę trwania związku partnerzy docierają się, niektórym udaje się pokonać trudności, które na starcie wydawały im się nie do przeskoczenia. Jednak równie często, a może częściej, w związkach, w których zgrzyta, zaczynamy żałować swojego wyboru, tęsknić za tym, co utraciliśmy. Jesteśmy bardzo zachłanni na życie i to co mamy, a co moglibyśmy mieć, nieustannie nas dręczy. Chęć odmiany jest u człowieka bardzo silna.

Współcześnie zmiana partnera nie jest niczym szokującym. Wręcz przeciwnie, jest postrzegana jako naturalny element życia. Dotyczy to nawet starszych mężczyzn, którzy opuszczają swoje dojrzałe żony, by związać się z młodymi kobietami. O takich panach mówi się, że są jurni, młodzi duchem.

Może o mężczyznach tak się mówi, ale starsze kobiety, które znajdują sobie młodszych partnerów już niekoniecznie spotykają się ze społeczną akceptacją.

- To niesprawiedliwe, zgadzam się. Bardzo często w naszej kulturze kobietom nie wolno tego, co wolno mężczyznom.

W małżeństwie istotne są kwestie wzajemnej atrakcyjności, także tej fizycznej. Ona po pewnym czasie mija. No i przez niektórych kobiety wciąż są postrzegane jako te, które wychodzą na tym gorzej. Przypomina mi się scena z „Anny Kareniny”, w której Stepan Arkadiewicz Obłoński, czyli Stiwa, rozmawia z Lewinem i narzeka, że jego żona była „taką tancerką”, „taką jaskółeczką”, a po dzieciach się roztyła. Stiwa – łysy, gruby, nieciekawo fizycznie – nie widzi śmieszności tego, co mówi.

W związkach bardzo często czujemy się na siebie skazani. Fakt, że nasz partner się starzeje, drażni nas, bo przypomina nam o własnym przemijaniu. Zaczynamy wylapywać jego negatywne cechy czy zachowania, a pozytywnych już nie widzimy.

A w przyjaźni nie jesteśmy już tacy wybiórczy?

- Dla przyjaciół jesteśmy bardziej tolerancyjni i więcej im wybaczymy, oni też tak robią z nami. Nie mamy wobec nich tak wygórowanych oczekiwań, jak wobec partnera.

Skąd u nas taka tolerancja?

- W dużej mierze właśnie stąd, że od przyjaciół nie oczekujemy wszystkiego na raz. Z jednymi łączą nas intelektualne dyskusje, z innymi możemy odbywać wędrowki, jeszcze inni mogą wspierać nas swoją zaradnością. Dobieramy się świadomie według pewnego klucza. Nie przysłaniają nam oczu różowe okulary zakochania, które często nas mylą przy wyborze partnera.

W kontaktach z przyjaciółmi zbieramy wiele pozytywnych doświadczeń, które stanowią pewien zasób, mamy coś na kształt banku, w którym są lokowane. Gdy konto jest bogate, saldo relacji korzystne, przyjaciele lojalni i wierni, doceniamy posiadane skarby i nie chcemy ich tracić z byle powodu. Łatwiej wtedy o wybaczenie pewnych niedoskonałości.

Oczywiście przyjaciele również nie mogą nam obiecać spokojnej starości, ale proszę zauważyć, że to do nich zwracamy się nierzadko w kryzysowych sytuacjach, a nie do żony czy męża. Do lekarza udajemy się z wypróbowaną przyjaciółką. Kiedy mamy kryzys w pracy, radzimy się przyjaciela, któremu ufamy. Partnera nie chcemy martwić, angażować. Czasem obawiamy się jego reakcji, nie chcemy, żeby nas krytykował.

Bezpieczeństwo i wolność nie idą w parze. Często nie chcemy wyrzekać się naszych pragnień, rezygnować z ważnych dla nas celów i poświęcać ich dla zachowania bezpiecznego związku z partnerem, który uniemożliwia ich realizację. Czasem jednak w takiej sytuacji rezygnujemy z wolności kierowani lękiem przed trudami niezależności. Czujemy się wtedy zniewoleni. Jeśli funkcjonujemy w „miejskim plemieniu” i opieramy się głównie na przyjaciółach, to jesteśmy bardziej samodzielni i działamy w układzie partnerskim. Tradycyjny model małżeństwa był ustawiony tak, że kobieta wspierała mężczyznę, on zaś rozwijał się, przez co zapewniał coraz wyższą pozycję rodzinie.

Żona „wisiała” na mężu?

- To nie był wyzysk, tylko sojusz. Mężczyzna też był zależny od kobiety, od jej gospodarności, od opieki, którą roztaczała nad nim i nad dziećmi. Ta współzależność powodowała, że żadne z partnerów nie mogło działać w pojedynkę.

Z powodu przemian społecznych ten model się zdezaktualizował, a przynajmniej stał się mniej powszechny. W zamian pojawiło się za to przyjacielskie wsparcie, które tak nie uzależnia. W przyjacielskich grupach jesteśmy samowystarczalni życiowo, ekonomicznie. Wychodzimy do ludzi, nawiązujemy z nimi kontakt, ale robimy to, bo chcemy, a nie dlatego, że musimy. Budujemy relacje na partnerskich podstawach. Gdy z kimś zaczyna nam być wyraźnie nie po drodze, możemy się zdystansować bez większych konsekwencji. Ceny sobie jednak najbardziej trwałe przyjaźnie, ta wspólnie zjedzona beczka soli ma znaczenie.

W przyjaźni bywamy gotowi do poświęceń.

- To prawda, szczególnie w Polsce czujemy się za przyjaciół odpowiedzialni.

Bliska mi para profesorów wyemigrowała jakiś czas temu do Stanów Zjednoczonych. Tutaj mieli ogromny krąg przyjaciół, ale przenieśli się na uczelnię w Arizonie, bo tam mieli lepsze perspektywy rozwoju. Zajęli eksponowane stanowiska. I tam też szybko zyskali oddanych, wydawałoby się, przyjaciół. Pech chciał, że ona dostała tam udaru. On musiał się skoncentrować na życiu rodzinnym. Natomiast ich amerykańscy przyjaciele... zniknęli. I co się okazało? Przyjaciele z Polski przyjechali im pomóc.

No i jaki z tego wniosek?

- Podejście do przyjaźni w naszym kręgu kulturowym jest wyjątkowe. Ciągle słyszę takie opowieści: „Wiesz, całą noc nie spałam, bo zadzwoniła koleżanka, z którą chodziłam do szkoły, i powiedziała, że musi pogadać”. Po prostu u nas ludzie dbają o kontakty, czują się odpowiedzialni za tych, z którymi owe kontakty łączą ich od dawna.

W kulturze anglosaskiej, zwłaszcza w Ameryce, bardzo szybko kreuje się wrażenie bliskości. Dosłownie dwa spotkania i mamy przyjaciela. Początkowo czujemy się tym oszołomieni, mówimy: „Boże, jacy oni otwarci, jacy serdeczni”. Ale potem dostrzegamy, że głębiej się już nie wchodzi, że te relacje są fasadowe. Natomiast u nas na początku odczuwalny jest pewien dystans, trochę musimy ze sobą tej soli zjeść, ale idziemy w głąb, jesteśmy realnie zainteresowani przeżyciami drugiej osoby, jej poglądami.

Długie nocne Polaków rozmowy to jest właśnie szukanie w sobie nawzajem pewnych ważnych wartości, doświadczeń, myśli. Niezwykle pogłębia to związek. Jeśli mam kogoś, z kim tak świetnie się rozumiem, o kim tyle wiem, bośmy tyle sobie powiedzieli, to czuję z nim prawdziwą więź.

Ale czy takie poświęcanie się, o którym pani wspomniała – bezsenna noc z powodu telefonu przyjaciółki, zamartwianie się o nią, wspieranie jej własnym kosztem – jest dobre? Gdzie leży granica poświęcenia w przyjaźni?

- Ona jest wyznaczona przez nasze możliwości. Przecież umiemy się bronić. Nie pomożemy nikomu bardziej, niż będziemy w stanie. Czasem w rodzinie bywa tak, że musimy się zająć na śmierć – życie za życie, bo nasi krewni nie liczą się z tym, jak się czujemy. W przyjaźni rzadziej usłyszymy: „Masz to robić, masz się mną opiekować, masz tak działać i nie uznaję, że nie jesteś do tego zdolny”. Pomoc przyjaciela na ogół przyjmujemy z wdzięcznością. Staramy się też pamiętać o jego potrzebach. Łatwiej pomaga się wtedy, gdy czujemy dobrowolność tej pomocy, a nie przymus.

Trafiają się roszczeniowe egzemplarze. Ludzie, którzy nie respektują naszego prawa do odpoczynku, egoiści skupieni wyłącznie na własnych doświadczeniach. Tak, jak zdarzają się osoby, które potrafią wyrządzić przyjacielowi świństwo albo go zdradzić. Na szczęście, to jakiś margines populacji.

Pytam o to poświęcanie się, bo mam wrażenie, że w „przyjaźń po polsku” wpisana jest pewna martyrologia.

- Nie nazwałabym tego w ten sposób. W przyjaźń wpisana jest nadzieja, że to na przyjaciół właśnie możemy liczyć w biedzie. Tym różnią się oni od zwykłych znajomych, z którymi łączy nas tylko więź towarzyska. Staramy się sprostać temu wymaganiu i myślę, że to jest piękne. W trudnych momentach możemy dzielić się zobowiązaniami wobec przyjaciela z innymi członkami grupy. Jeśli mamy poczucie, że chce on rzeczy niemożliwych, potrafimy rozważyć wspólnie inne, realne sposoby rozwiązania kłopotów. W każdej relacji są pewne granice, które wyznaczamy zgodnie z naszymi przekonaniem, stosownie do sytuacji, drogą wspólnych ustaleń. Gdy zawiedzimy przyjaciela, mamy wyrzuty sumienia.

Przyjacielskie plemię może jednoczyć figura wspólnego wroga.

- Oj, to niesłychanie silny motyw. Wspólna walka wiąże zarówno pary miłosne, jak i przyjacielskie. Bardzo często jest tak, że póki ludzie walczą z przeciwnościami losu, to trzymają się razem, a gdy przychodzi okres dobrobytu, rozstają się. Okazuje się, że byli sobie obcy, a jedyne, co ich łączyło, to wspólny cel. Albo poczucie zagrożenia.

To smutne.

- Tak czasem jest. Na szczęście przyjaciół zazwyczaj konsoliduje wiele innych czynników. Kluczowa jest ciągła wymiana informacji, która zachodzi w ich kręgu i wymiana emocji w czasie spotkań. Przyjaciele są na bieżąco z tym, co się u każdego z nich dzieje. Wspólnie przeżywają istotne dla siebie momenty, ale też omawiają je w swoim gronie.

No i pojawia się instynkt stadny. Człowiek łatwo ulega ocenom przyjaciół.

- Jeśli mój przyjaciel został skrzywdzony przez kogoś i teraz nie cierpi tego człowieka, to ja też zaczynam wątpić, czy owa osoba jest dobra. Mechanizm jest taki: mój przyjaciel, którego cenię, którego uważam za wartościową osobę, według mnie ma właściwy ogląd świata, więc jego oceny biorę poważnie pod uwagę.

A czy jest w tym coś złego? Pani zdaniem, powinniśmy przyjmować optykę naszych przyjaciół, czy jednak każdorazowo próbować wypracować własną?

- Znamy słabości naszych przyjaciół i jeśli wiemy, że ich oceny są zbyt ostre, nie musimy ich przyjmować za swoje.

To teraz odwróćmy sytuację: czy mamy prawo wymagać od naszych przyjaciół absolutnej lojalności w tym zakresie?

- Te kwestie są bardzo trudne. Znamy je z sytuacji rozvodu naszych przyjaciół. Tu trzeba wiele delikatności. Nie wspierajmy ewidentnego krzywdziciela naszego przyjaciela - to byłaby zdrada. Ale też nie zrywajmy brutalnie związków z ludźmi, których lubimy i cenimy, tylko dlatego, że się mu nie spodobali. Nie zmuszajmy go do kontaktów z przykrymi mu osobami, ale z powodu lojalności nie krzywdźmy tych, którzy naszym zdaniem nie zasłużyli na anatemę.

A jak to wszystko, o czym mówimy, to umocnienie przyjacielskich więzów, które odbywa się kosztem więzów rodzinnych, wpływa na relacje społeczne?

- Tak się złożyło, że żyjemy w okresie wielkich zmian. Nic nie jest nam dane raz na zawsze. Przyjaźń przystaje do tego lepiej, niż z definicji bardziej skostniałe układy rodzinne.

Posłużę się tutaj słowami piosenki Wojciecha Młynarskiego o dzieciach układających puzzle. Powstała w czasach komunizmu, no i oczywiście odnosiła się ironicznie do rzekomego dobrobytu, jaki panował w PRL-u, do propagandy sukcesu, uprawianej przez władze. Dzieci z piosenki nijak nie mogły ułożyć pięknego obrazka z dostarczonych im elementów, więc w końcu powiedziały: „Albo dajcie nowe klocki, albo zmieńcie ten obrazek!”. My, dzisiaj, jesteśmy często jak te dzieci. Jeśli nie potrafimy skleić naszych oczekiwań z rzeczywistością, szukamy nowych klocków.

Nie świadczy to chyba o nas najlepiej? Jak coś nam nie wychodzi, to uciekamy w coś nowego, niczym rozkapryszony bachory?

- Nie, bo klocki bardzo tradycyjnych modeli rodziny nie pasują do obrazka współczesnej rzeczywistości. Tradycyjny model szefa i wiele innych schematów też. To nie my uciekamy, to rzeczywistość się zmienia i my musimy jakoś się w tym odnaleźć.

Przyjacielska grupa jest elastyczna, w jej obrębie wszystko można poprzerstawić, bezpiecznie zreorganizować. Jeśli ktoś zmienił się na tyle, że już do nas nie pasuje, to po prostu rezygnujemy z bliższych z nim kontaktów. Gdy partner nas opuszcza, nasz świat się wali,

trudno ustalić jego nowe ramy na wielu płaszczyznach, gdy robi to przyjaciel – cierpimy, ale żyjemy dalej.

Oj, czasem te rozstania przyjaciół bywają jednak dramatyczne...

- Chciałabym zaznaczyć, że nasze rozważania dotyczą dość generalnej kwestii: dlaczego obecnie młodzi ludzie jako gwarancję przetrwania są skłonni wybierać raczej grupy przyjaciół niż rodzinę. W związku z tym, nie wglębiamy się tu w subtelny psychologicznie charakter związku przyjacielskiego, bo jest to temat na osobną rozmowę.

Ale skoro padło pytanie dotyczące przeżyć doznawanych w takiej relacji, to oczywiście muszę powiedzieć, że utrata przyjaźni łączącej nas ze szczególnie bliską nam osobą, którą traktowaliśmy poniekąd jako część naszej jaźni, jest źródłem głębokiego cierpienia, zostawia bolesną lukę, której najczęściej nie da się niczym i nikim wypełnić. Trzeba z tym żyć. Dodatkowym źródłem przykrych przeżyć są powody, dla których doszło do rozłamu. To, jak na niego reagujemy i jak przebiega ten okres swoistej żałoby zależy od wielu czynników.

Mam wrażenie, że procesy społeczne, o których pani mówi, są szczególnie ważne dla kobiet. One wciąż walczą o niezależność, a wsparcie ze strony przyjaciółek jest tu kluczowe.

- Jest ogromnie ważne, bo tradycyjne małżeństwo wiąże kobietę. Mimo tego, że kobiety dbają o swój rozwój zawodowy, mimo że zrozumiały wreszcie, że są niezależnymi osobami, które też muszą się rozwijać, a nie tylko służyć rozwojowi innych, to jednak w dalszym ciągu w małżeństwie bywają ustawione na drugim planie. W przyjaźni łatwiej jest im wypracować partnerstwo.

Może same się tak pozycjonują w związkach? Często jest tak, że to kobiety wymagają od siebie niestworzonych rzeczy, a nie ich partnerzy. To one narzucają sobie ten kierat, na który potem narzekają.

- Tak, bo tak zostały wychowane. Uważają, że powinny sprawdzać się na wielu polach: w pracy, w domu, w związku, w macierzyństwie, równocześnie będąc idealnymi matkami i żonami, które oczywiście wszystko mają na swojej głowie, bo mężczyzna nie da przecież rady. A mężczyźni często pogłębiają w nich takie przeświadczenie, nawet nieświadomie. Wystarczy, że napomkną: – „Ale tu bałagan, dziecko znów dostało w szkole dwóję, nie jest wystarczająco zadbane, dlaczego w domu nie ma nic do jedzenia?!”. Ten kij ma zresztą dwa końce, bo kobiety też potrafią zadreć mężczyzn. Żona mówi do męża: „Co tak mało zarabiasz? Nie żyjemy na takim poziomie jak Kowalscy”. To też jest zaczerpnięte ze starego modelu związku.

Przyjaciele rzadziej nas krytykują? Przyjaźń to pełna akceptacja?

- Może nie bezwarunkowa, ale jednak odczuwalnie silniejsza. Między przyjaciółmi wszystko jest dobrowolne. W grupie przyjacielskiej skuteczniej się też mediuje. Jeśli grupa ma mi coś za złe, to zawsze znajdzie się mediator, który powie: „Kochani, przestańcie, zrozumcie, wy też popełnialiście przecież błędy”.

Czasem wystarczy jedna nasza dobra cecha, którą doceniają przyjaciele, naprawdę jedna, żebyśmy czuli się atrakcyjni. Może jesteśmy wyjątkowo zaradni? A może potrafimy godzić zwaśnione strony? Albo jesteśmy empatyczni? Nie musi za tym iść pełen wachlarz zalet – ta jedna cecha sprawia, że już jesteśmy wyjątkowi.

I często sami nie zdajemy sobie sprawy, że taką fajną cechę posiadamy. Dopiero przyjaciele nam to uzmysławiają.

- Ależ oczywiście, to jest cudowne, gdy przyjaciele powiedzą do mnie na przykład: „Jaka ty jesteś ciepła”. Jezus Maria, nie wiedziałam, że to tak ze mnie bucha!

W przyjaźni znajdujemy odpoczynek. Erving Goffman mówił, że funkcjonujemy w teatrze życia, że ciągle musimy występować na scenie. To powoduje napięcie, którego od czasu do czasu próbujemy się pozbyć. Marzymy, żeby odstresować się w kulisach. A z kim to zrobić najskuteczniej? Z przyjaciółmi, oczywiście.

***Dr hab. Katarzyna Popiołek, prof. Uniwersytetu SWPS** – psycholog społeczny, dziekan katowickiego wydziału Uniwersytetu SWPS. Zajmuje się tematyką relacji międzyludzkich w bliskich związkach, sposobami udzielania pomocy i wsparcia, zachowaniami w sytuacjach kryzysowych. Prowadzi badania nad percepcją czasu i jej konsekwencjami. Jest współzałożycielką Fundacji Pomocy „Gniazdo”, a także Stowarzyszenia Zrównoważonego Rozwoju Śląska LIBRA. Za swoją aktywność na rzecz regionu została odznaczona Platynowym Laurem Umiejętności i Kompetencji.*